

Od Administracji.

Z numerem dzisiejszym kończymy **1-szy** kwartał dziesiątego roku naszego wydawnictwa.

Wszystkich naszych P. T. Prenumeratorów prosimy tedy o rychłe nadesłanie przedpłaty na czas dalszy, a to celem uniknięcia przerwy w regularnem odbieraniu pisma. Kto bowiem prenumeraty do dnia **6 kwietnia** nie nadesła, następnego numeru już nie otrzyma.

Prenumeratę z **Galicyi i W. Ks. Poznańskiego** przesyłać należy wprost do **Administracji** naszego pisma: **Kraków XV., Kazimierza Wielkiego (dawniej Nowowiejska) 83.**

Prenumerata wynosi już wraz z przesyłką pocztową:

Rocznie	16 K.	17 — Mrk.	10.40 Rbs.
Półrocznie	8 „	8.50 „	5.20 „
Kwartalnie	4 „	4.25 „	2.60 „

Do niniejszego numeru dołączamy dla P. T. Prenumeratorów w Galicyi przekazy pocztowe celem ułatwienia im nadsyłania przedpłaty.

W Królestwie Polskiem i Ces. Rosyjskiem przyjmują prenumeratę **wszystkie księgarnie** tak w Warszawie, jak i na prowincyi, lub główny zastępca na Królestwo Polskie i Cesarstwo Rosyjskie

Biuro G. Ungra w Warszawie

Aleja Jerozolimska 78.

Prenumerata wynosi:

Kwartalnie 1 Rbs. 80 kop. — z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop.

Kronika tygodniowa.

Święta, święta i już po świętach!

Aniśmy się oglądali, a tu minęły trzy dni próżniactwa, ba nawet kończy się miesiąc marzec, a zbliża pierwszy kwiecień, czyli *prima aprilis*.

Dzień ten tem się różni od innych dni w roku, iż wtedy wiemy, że nas bliźni biorą na kawał, kiedy indziej zaś przypuszczamy, że traktują nas seryo, a oni tymczasem kpią sobie z nas w żywe oczy.

Jednem słowem *prima aprilis* panuje u nas jak rok długi.

Dajmy temu jednak spokój, lepiej nie ruszać tej bolączki.

Niniejszą kronikę postanowiłem poświęcić skróceniu żywota przeciętnego pocziwego człowieka w czasie świąt, co on przeżył, ile wycierpiał, ile zjadł i wypił, choć ta ostatnia okoliczność nie da się należycie zdefiniować. Jedni jedzą dużo, bo mają co, inni jedliby, ale nie stać ich na to. Ci są w najgorszym położeniu, a do nich należą przeważnie dziennikarze, nie wyłączając i niżej niepodpisanego.

Zaczynam od wielkiej środy, to jest od dnia, w którym ukończyłem poprzednią kronikę. Popołudnie spędziłem naturalnie na łonie rodziny, zajęty przygotowaniami przedświątecznymi, o których zresztą już wspominałem. Dopiero koło piątej wyszedłem z domu, aby, jako prawowierny katolik, wziąć udział w ciemnej jutrzni. Była ona rzeczywiście ciemną, na samo jej wspomnienie aż mię ciarki przechodzą! Wystarczy, jeśli powiem, że było już zupełnie jasno, gdy mój niepewnym krokiem wracałem na łono stroskanej małżonki, która, jak się spodziewałem, czeka na mnie ze zboliałem sercem i trzepaczką.

Wy tłumaczyłem się jednak, że zatrzymały mnie w mieście sprawy redakcyjne, a od tego niema apelacji. W tym wypadku schodzi na drugi plan nawet prawowita władza domowa.

Kazanie było, co prawda, żałowałem ogromnie, ale nie spopularyzowano u nas jeszcze onego pożądanego głosu, wynalazku pana Maxima. Byłby mi się rkurat przydał.

Czwartek był podobny do środy, jak dwie krople wody, a zasłużył sobie o tyle na wzmiankę, iż po raz ostatni przed świętami jadło się ciepły obiad, kiepski, co prawda, ale cóż robić!... Pani domu wraz z całym fraucymerem zajęta świętami.

Ciemna jutrznia tego dnia trwała nieco krócej, bo o dziesiątej dmuchałem już w ognisko rodzinne, jak przystało poważnemu ojcu rodziny.

Nadszedł nareszcie Wielki Piątek, tak gorąco oczekiwany przez wszystkich małżonków.

Dwa tylko są w roku dni, w które rodzona żona, choćbyś był nawet największym pantoflem, sama każe ci iść do knajpki, gdyż w domu, prócz śledzia i pieczonych ziemniaków niema nic! To wigilia Bożego Narodzenia i Wielki Piątek, czasem i Wielka Sobota...

Knajpki też przepelnione... „Pod Palmą“ i „pod Obrazem“ ruch, niczem na jarmarku w Ułaskowcach, czujesz się jednak jakoś nieswojsko, co krok bowiem napotykaś oblicza, których, jak rok długi nie widziałeś. Pan Edwin i pan Władysław zwiłają się, aż się poca, co chwila z różnych stron słychać głosy:

— Panie Władziu! Jeszcze bombkę!...

— Małe piwko z gęstą równą...

— Bombka za filar dla pana radcy!...

Południe już minęło, ruch nie słabnie, nawet ci, którzy punktualności mogliby być wzorem, zdają się nie zważać wcale na zegarek... Tak, bo dziś spieszyć się nie potrzeba, w domu nie jesteś mile widziany, rodzona twoja żona jest zdania, że tylko przeszkadzasz.

Otworzysz drzwi, woła:

— Bój się Boga! Zamykaj, bo mi się baby nie wyruszają!...

Zamknąłeś... i to jej nie na rękę, powiada, że zaduch! Słowem, kobiecie nie dogodzisz w żaden sposób...

Rzecz prosta, że powrót następuje dopiero późnym wieczorem. Jeśli placki się udały, możesz być pewnym bezkarności, jeśli był jakiś mankament, na twą głowę wyleje połowica cały ceber swej żółci, dowiesz się, że jesteś potworem, na którego spada cała wina...

Wielka Sobota!... Jeszcze leżysz w łóżu, już żona szarpie cię za rękaw i przypomina, że masz zawiesić franki, przybić dwa obrazki, rozsunąć stół i pilnować w kuchni, by się szynka nie rozgotowała! Z garnka do bielizny sterczy poważnie świńskie udo, a ty tylko lykasz ślinkę, bo to dziś czwarty dzień postu!...

Ominąłeś nareszcie wszystkie Scylle i Charybdy, w samo południe otrzymujesz pozwolenie pójścia na śniadanie, bo przecież samo lykanie śliny nie wystarczy, trzeba czemś konkretniejszem posilić grzeszne ciało... Stawiają jednak warunek, byś się nie ważył pokazywać bez księdza!

Wieczór rezurekcyja, po niej wojna podjazdowa z magnifiką.

— Kundusiu! Takim jakiś słaby... Możeby mi nie zaszkodził kawałek szyneczki... przecież święconą!

— Jawnogrzeszniku! — odpowiada zgorszona. — I ty nie boisz się nawet coś podobnego powiedzieć?...

Święty post! Nie pozwalam!...

— Ależ duszko! Pościłem cztery dni... Już po rezurekcyi!...

— Powiedziałam, że nie, to nie!...

Lyknąłem tylko ślinkę i ustąpiłem słabej niewieście, przekonany przez nią, że jutro lepiej mi będzie smakować święcone.

W niedzielę rano budzą cię wesołe głosy dzwonów, zwiastujących uroczystość Zmartwychwstania Pańskiego.

Jak na porządnego obywatela przystało, maszerujesz wraz z całym żywym inwentarzem na nabożeństwo, potem wracasz skwapliwie w domowe pielesze i po podzieleniu się święconem jajkiem z rodziną, zabierasz się do spożywania darów Bożych...

Niedziela przeznaczoną jest na obżarstwo w domu, w poniedziałek rozpoczyna się od samego świtu wędrówka po znajomych, krewnych i przyjaciółach, w międzyczasie wpadnie człowiek i do knajpki „na bombkę“ i cieszy się, że się tutaj od soboty nic nie zmieniło.

Nie skłamię, jeśli powiem, że w te dwa dni na jednego osobnika o żywej wadze, dochodzącej do stu kilogramów, przypada: około pół kopy jaj, trzy kilogramy szynki, półtora łokcia kielbasy, do tego mniej więcej tyle rozmaitej trunkowości, że w napełnionem nią naczyniu mógłby się swobodnie poruszać średniej wielkości torpedowiec...

A ile się człek nakłamię!... Rzekłbyś, że to *prima aprilis*...

Największemu wrogowi, któremu zwykle żyćzysz, za nogi połamaj, całujesz serdecznie oba policzki i zapewniasz go, że bez niego żyć nie możesz! A i on *vice versa* twierdzi, iż jesteś jego jedynym przyjacielem!...

W poniedziałek wieczorem jesteś już prawie zupełnie do niczego, na jedzenie i picie nawet nie spojrzysz, cała nadzieja we fłaszczce gorzkiej wody, o której powinno się pamiętać przed świętami...

Zmęczyło cię już dwudniowe próżniactwo, a tu jeszcze czeka jeden dzień świątlny!

Pan prezydent Leo, aby odwdziżyć się Podgórzanom za ich gotowość do połączenia się z Krakowem, postarał się, gdzie potrzeba, aby dzień „Rękawki“ był świętem.

I tak się też stało!

Że zaś Podgórze ma względy, o tem przekonał się już choćby z tego, że we wtorek była pogoda, gdy tymczasem poniedziałkowy „Emaus“ nie udał się wcale z powodu deszczu, który padał przez całe popołudnie i popsuł zupełnie humory i zabawę. Zato „Rękawka“ poszła znakomicie, więc Podgórze cieszy się i skrobie rzepkę Zwierzyniowici.

Tak „Emaus“, jak i „Rękawka“ to pierwsze wycieczki Krakowian za miasto i prawdziwe żniwo dla wszelkiego rodzaju przekupniów sprzedających pierniki, zabawki, trąbki, bębny i piszczałki... „Emaus“ jest nieco poważniejszy, „Rękawka“ więcej swawolna, choć zaprzestano już barbarzyńskiego zwyczaju obrzucania ubogich chłopaków suchymi bułkami i zgniłemi jajami!

Zaznaczyć wypada, że przy tej sposobności mieliśmy pierwszy dzień kwiatka na Półwsiu Zwierzyniekiem z okazji „Emausu“.

A te „kwiatki“ to tak samo mogą się sprzykrzyć człowiekowi, jak owe „żywe dzienniki“, które nas jakoś nie bardzo ożywiają. Dobrze przynajmniej, że na Bałkanie wre wojna, a i w Krakowie toczy się bój o teatr miejski, nie brakło bowiem tematu dla prelegentów.

W czasie wędrówek świątlnych starałem się wysondować opinię publiczną, na czyją stronę przechylił się zwycięstwo „teatralne“, niestety, nie dowiedziałem się wiele. Panowie radcy miejscy milczą jak grób, ten lub ów czasem coś bąknie pod nosem, ale tak dwuznacznie, że absolutnie nic z tego nie wydedukujesz.

To jedynie jest pewnem, że potykać się będą „na udeptanej ziemi“, jedynie pp. Pawlikowski i Trzciński, a ten, co zwycięży, to zaledwie kilku głosami.

Harmonię świątlną o mały włos byłaby nam zamąciła nędzna Czarnogóra, która, idąc w ślady siostrzycy swej Serbii, wzięła się na ostro do Austriaków. Pan Berchtold, który ma szczęśliwą rękę w prowadzeniu wielkiej polityki z tego rodzaju „mocarstwami“, przeląkł się, udawał jednak, że się nie boi i chciał nawet wysłać ultimatum, w którym miało być powiedzianem, że jeśli Czarnogóra nie odpowie do czterdziestu ośmiu godzin, to Austria gotowa jest... poczekać dłużej...

Nie było tylko kandydata pod ręką, któryby się zdecydował pojechać do Cetyni z tem pismem, ostatecznie zgodzono się wysłać pana Prohaskę, bo on nie ma już nic do stracenia.

A wiadomo, że tam z posłami obchodzą się niekoniecznie grzecznie.

Skończyło się jednak na niczem. Czarnogórcy przelekli się groźnego spojrzenia ekscellencyi Berchtolda i ustąpili!

Jest to pierwszy „wielki“ tryumf austriacko-węgierskiej polityki zagranicznej, o ile ona dotyczy spraw bałkańskich. W dank za to chcą sfery miarodajne wysłać pana ministra w „dobrze zasłużony stan spoczynku“... A byłby już czas najwyższy, bo on sfuszerował całkiem naszą politykę...

Radość także była wielka, gdyż demobilizacya stała się faktem dokonany i podobno coś ze trzydziestu rezerwistów rozpuszczono do domów, obiecując im jednak, że po świętach mogą być znowu powołani.

Papierki i tutki
cygaretowe
ABADIE
PARYŻ
Do nabycia we wszystkich trafikach

Tajemnica ubierania się tanio, dobrze, gustownie i elegancko polega na wyborze stosownego źródła zakupu. Wielki magazyn „Au Prix Fixe“ Wiedeń I., Graben 15/7 wysyła na żądanie zupełnie bezpłatnie najnowsze kolekcje próbek materyi i ilustrowane katalogi główne na sezon wiosenny i letni.